



423

H. ANDERSEN

W. H. I. I.
Dział Lwo
Chorągiew Męsk
2. DRUŻ. HARCERSKA H. TRACUTY
we Lwowie

COŚ LEN

PRZEKŁAD

C. NIEWIADOMSKIEJ



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908

COŚ.

Nie mam wielkich pretensji — rzekł najstarszy z pięciu braci — chcę być tylko człowiekiem pożytecznym. Chcę być *czemś*. Najskromniejsza nawet praca zasługuje na szacunek, bo coś ludziom przynosi. Ot na przykład zajmę się wyrobem cegły; prosta to rzecz, a potrzebna. I już nie będę *niczem*: choć cegiełki zostaną po mnie na świadectwo, że czasu nie marnowałem.

— To mi zajęcie! — zaśmiał się brat drugi.— Trudno naprawdę znaleźć coś prostszego, — zwyczajna praca wyrobnika, którą maszyna równie dobrze spełniać może. Co do mnie, inaczej myślę: chcę być *czemś* rzeczywiście i dlatego obieram rzemiosło mularza. To już zupełnie co innego: na takim stanowisku nie zastąpi mnie martwe narzędzie. I przyszłość także piękna, bo na nią zasłużę, wznosząc ludziom trwałe, i wygodne domy; zostanę z czasem obywatelem miasta, może jakim starszym w radzie albo w cechu¹⁾, będę miał własną cze-

¹⁾ Cech — związek zawodowy rzemieślniczy.

ładź, dom, każdy się do mnie odezwie z szacunkiem: panie majstrze! To coś znaczy, człowiek czuje, że jest przecie *czemś* na świecie.

Trzeci brat lekceważąco wzruszył ramionami.

— I ty niewiele żądasz, mój kochany — rzekł z uśmiechem. — Cóż to jest mularz? Prosty rzemieślnik, nic więcej. Iluż to ludzi w mieście patrzeć będzie na ciebie z góry i uważać cię za coś niższego! Za nic prawie, ot jakąś tam mrówkę z mrowiska. Ja mam większe pragnienia, chcę czegoś lepszego, chcę się wznieść wyżej, zostać *czemś* naprawdę i dlatego postanowiłem obrać zawód budowniczego. To już jest praca wyższa, umysłowa, i niekażdy jest do niej zdolny. Daje też większe znaczenie temu, kto ją spełniać może. Prawda, że będę musiał przetrwać ciężki termin: włożyć bluzę i czapkę, usługiwać czeladnikom, którzy mi będą jako »chłopcu« rozkazywać — ale to się przecie skończy. Wyobrażę sobie na czas pewien, że wszyscy odgrywamy komedję, i basta! A potem pójdę sobie swoją drogą, wstąpię do akademji i otrzymam stopień architekta ¹⁾). To już coś znaczy, znaczy nawet bardzo wiele. Z czasem mogę zostać i wielmożnym panem... Wszyscy się do mnie zwracają o plany, powierzają roboty, a ja nimi kieruję, rysuję, buduję i tak dalej do końca życia. To nazywam: być *czemś* na świecie.

— A ja to nazywam: być *niczem* — rzekł czwarty. — Cóż w twojej pracy jest twego własnego? Nauczono cię w szkole zasad, które potem

¹⁾ Architekt — budowniczy.

stosujesz znowu podług przepisanych wskazówek, reguł i zwyczaju. Mnieby to nie wystarczało. Ja chcę sam z siebie tworzyć, czy rozumiesz? Stworzyć coś, czego dotąd niema jeszcze. Stworzyć nowy sposób budowania domów, nowe kształty, przepisy, ściśle zastosowane do klimatu i innych warunków miejscowych, do materjału, jaki mam pod ręką, do wzrastających wciąż wymagań ludzi. To będzie moje dzieło, będzie coś naprawdę, czego nie było dotąd. A ja będę twórcą!

— Oby tylko szczęśliwym — zauważył piąty brat z niedowierzaniem, — oby cię nie zawiodły nowe materjały i wymagania ludzi, które wzrastają codzien i codzien się zmieniają. Widzę, że wszyscy czterej łudzicie się i żaden z was nie będzie niczem. Ale róbcie, jak chcecie. Uprzedzam was tylko, że ja inną obrałem drogę. Takich, co śpieszą do pracy, jest wielu. Każdemu pilno zająć ręce albo umysł i już sobie wyobraża, że jest twórcą i o nic więcej nie dba, nic nie pragnie poznać, zgłębić, zrozumieć, ocenić. Otóż ja przedewszystkiem chcę wszystko zrozumieć, poznać, ocenić, skrytykować, wskazać, co w tem jest szkodliwego lub niewłaściwego. I myślę, że to właśnie jest najważniejsze na świecie, i dlatego ja jeden *czemś* będę między wami.

Każdy z braci postąpił, jak sobie zamierzał, lecz piąty przedewszystkiem zwracał na siebie uwagę. — Mądra głowa! — mówiono o nim. — Temu *coś* przeznaczono, i może zajść daleko. Szkoda tylko, że nic nie robi.

Ale właśnie z tego powodu uważano go za coś lepszego.

Historja to zwyczajna, dawna, jak świat stary, i końca nie ma, póki świat istnieje.

Lecz posłuchajmy dalej. Wszak to bajka.

Brat najstarszy, który zajął się wyrobem cegły, zrozumiał w krótkim czasie, iż każda prostokątna, różowa cegiełka daje mu grosz zarobku. Mały, miedziany grosik. Ale z wielu groszy powstał srebrny talar, — piękny, duży talar. Ten miał szczególną własność: kto nim zapukał do drzwi piekarza, rzeźnika, krawca — wszystkie otwierały się przed nim gościnnie, wszędzie witały go twarze uprzejme, każdy spełniał z ochotą żądanie czy prośbę szczęśliwego posiadacza tego talizmanu. A źródłem tej pomyślności były skromne cegły. Niektóre wprowadzie kruszyły się czasem, ale i takie można było spożytkować.

Uboga wdowa Małgorzata chciała zbudować sobie chatkę na wysokiej tamie, zabezpieczającej wybrzeże od morza i jego niszczącej potęgi. Poczciwy ceglarz dopomógł jej w tem przedsięwzięciu i podarował wszystkie pokruszone cegły, a nawet wiele całych, gdyż miał dobre serce, choć prostym był człowiekiem. Biedna kobieta prawie własnymi rękami budowała swą chatkę, która też nie odznaczała się pięknnością: mała, ciasna, niezgrabna, okna miała trochę krzywe, drzwi za niskie, dach lichy, słomiany, niezbyt mocny i niezbyt prosty, ale zawsze była to chata jej własna, jakie takie schronienie przed słońcem i burzą, a widok z niej na morze był wspaniały. Słone fale rozbijały się z szumem o tamę, a kiedy wicher zawył i niósł na wybrzeże wielkie, spienione, ryczące bałwany, padały one

czołem u stóp ubogiego domku, niby pokonane a wściekłe olbrzymy, opryskując białą pianą jego ściany, a niekiedy przerzucając ją przez niską strzechę.

I długo, długo stał domek ubogi, patrząc z wysokiej grobli na morze rozległe, stał jeszcze wtedy, gdy kości człowieka, który nań cegłę wyrabiał, dawno pokryła ziemia.

Brat drugi został mularzem i dobrze mu się wiodło, gdyż pracował i uczył się wytrwale. Zostawszy czeladnikiem, wziął mały tłumoczek na plecy i z piosenką na ustach wyruszył na zwykłą po świecie wędrowkę. Szedł i śpiewał o swoich zamiarach, nadziejach, pełen wiary w swe siły, pełen zapału młodości i najlepszej otuchy.

Nie zawiodło go życie: został wreszcie majstrem i budował domy w rodzinnem miasteczku. Co to za przyjemność i zadowolenie! Budował je też starannie, uczciwie, z zamiłowaniem; budował tak dobrze, że wszyscy go wzywali i potrzebowali, że mu powierzano najlepsze roboty. To też po wielu latach z jego domów powstała nowa i piękna ulica, ozdoba miasta. A wówczas wszystkie owe kamienice złożyły się na własny domek pana majstra.

— Jakże to mogły zrobić kamienice? — zapytacie. — Ha, zrobiły, — wiedziano o tem w całym mieście. Ulica majstrowi zbudowała domek.

Nie był on zresztą wielki ani okazały, ot, taki sobie, skromny, z glinianą podłogą, ale wygodny, czysty. A gdy wprowadził młodą żonę do dużego, jasnym słońcem oświetlonego pokoju, zajaśniała gliniana podłoga, jak lustro, zaśniły białe ściany,

jakby wróżka szczęścia przybrała je w tęczowe wieńce z świeżych kwiatów, rozpromieniło się wszystko dokoła, jak w zaklętym pałacu. Bo szczęście zamieszkało w sercach młodej pary i gościło w nich stale. A szacunek otaczał pana majstra; czeladnicy pozdrawiali go uprzejmie i spoglądali z dumą i uszanowaniem na cechową chorągiew, która powiewała ze szczytu jego domu.

Tak, czuł brat drugi, że jest *czemś* na świecie. Ale że był człowiekiem, więc się zestarzał i umarł.

Trzeci brat, jak powiedział, obrał zawód budowniczego. Wprawdzie i on musiał przebyć ciężki termin, ale po ukończeniu akademji został od razu panem budowniczym, wielmożnym panem! Bardzo był dumny z tego i zadowolony. Brat jego w rodzinnem mieście wybudował całą ulicę, ale on dał jej nazwę od swego imienia, bo jego dziełem były wszystkie plany tych pięknych, nowych domów, i współobywatele chcieli uczcić jego zasługę. Łatwo się też domyślić, że dom najpiękniejszy na tej ulicy był jego własnością, że dzieci jego nazywano paniętami, a żonę wielmożną panią. Więc zdobył coś na świecie i coś znaczył, — imię jego na wieczne czasy zostało wypisane na rogu ulicy i do dzisiaj dnia żyje w ustach mieszkańców miasta. Żyje dłużej od niego i żyć będzie, Bóg wie, jak długo. To też powiedział sobie, umierając: byłem *czemś* na tym świecie!

A czwarty brat, ów twórca? Ten miał zająć najwyżej, ale na wysokościach łatwo o nieszczęście, — niestety, wkrótce się o tem przekonał i zmarł przedwcześnie. Wyprawiono mu jednak wspaniały pogrzeb z chorągwiami, z muzyką i kwiatami, wy-

powiedziano aż trzy długie mowy nad jego grobem, w których wychwalano talent i wielkie zamiary zmarłego i postawiono mu na grobie pomnik. Zawsze i to coś znaczy.

Piąty brat przeżył wszystkich. I słusznie, bo on przecież miał sądzić o nich, jak sądził wszystko na tym świecie i wypowiadał zawsze wyrok ostateczny. Ludzie podziwiali jego rozum i krytykę i mówili o nim:

— To otwarta głowa!

Lecz i on umarł wkońcu, nie mogło być inaczej, — i stanął u drzwi raj, do którego dusze ludzkie zbliżają się w porządku, parami. Obok niego stanęła jakaś pokorna duszyczka i nieśmiało, a z tęsknotą spoglądała na wspaniałe, złociste wrota.

Postawiono ją przy mnie widać dla kontrastu — szepnął do siebie krytyk — i to mi się należy: cała wartość moja lepiej się uwydatnia obok takiej lichoty. — Któż to jesteście, moja kobiecino? — zwrócił się do sąsiadki. — Widzę, że bardzo wam śpieszno do raj, ale poczekać trzeba.

Duszyczka skłoniła się przed nim do ziemi, myśląc, że to sam święty Piotr do niej przemawia.

— Ja jestem stara Małgorzata z grobli — jaśnie wielmożny panie — odrzekła z pokorą. — Z małej chatki na grobli.

— Aha. — I cóżeś robiła na ziemi, stara Małgorzato z chatki na grobli? — rzekł krytyk, którego już nudziło długie oczekiwanie.

Staruszka popatrzała nań z wielką pokorą.

Nic takiego nie zrobiłam — rzekła smutnie —

za cobym się mogła spodziewać, że przede mną te drzwi otworzą, ale — Bóg miłosierny, może łaska Jego nie odepchnie ubogiej. Na to tylko liczę.

— A w jakiż sposób rozstałaś się z ziemią, moja kobieto? — pytał znów brat piąty, który lubił rzecz każdą zbadać aż do gruntu.

— Czy ja wiem, w jaki sposób się rozstałam — odpowiedziała stara po namyśle. — W ostatnich czasach chora byłam ciągle... a nędza, jaśnie panie? to wszystko człowieka dobija. Ciężko mi było już podnieść się z łóżka i kiedy przyszło nagle wybiedz na chłodne powietrze, na śnieg i mróz, musiałam się pewno zaziębić, choć sama nie wiem, kiedy, bo nie miałam czasu pomyśleć o tem wszystkim. Tyle trwogi użyłam w ostatniej godzinie, — ale Bóg łaskaw, łaskaw, wszyscy się uratowali!

— Kto? Cóż to było za zdarzenie?

— Na morzu, jaśnie panie, myślałam, że pan o tem słyszał. Wiadomo, że mieliśmy ostrą zimę tego roku, morze u brzegu zamarzło wybornie, i państwo z miasta umyślili sobie urządzić na lodzie zabawę. Mówiono, że ma być ślizgawka i tańce, z daleka słyhać było muzykę i wrzawę, słyszałam je w mojej ubogiej izdebce, chociaż nie miałam siły podnieść się z posłania, aby popatrzeć na nich. Nakoniec słońce zaszło, ukazał się księżyc, ale blady, bez blasku. Wyjrzałam przez okno, na lodzie zapalono kolorowe światła, migwały cienie, słyszałam śmiech ludzki. Wtem spojrzełam na niebo... Daleko, daleko, gdzie się brzeg nieba na wodzie opiera, płynął biały obłoczek z czarną pośrodku plamą. Nie zaraz uwierzyłam swoim oczom, jaśnie

panie, choć stara jestem i niedarmo przecież od lat tyłu patrzałam na niebo i morze; — ale obłoczek płynął, coraz większy, większy, a czarna plama... Znam ją! Zrozumiałam wszystko. Dwa razy w życiu widziałam ją przecież i wiem, co niesie — burzę i rozbitcie, śmierć dla tych, bo się tam bawią wesoło.

— A na lodzie całe miasto: starzy, młodzi, dzieci, panie i panowie, śmieją się, tańczą, słuchają muzyki, nie wiedzą, co ich czeka. Jak ich ostrzedz? Tam nic nie widać, — zresztą zajęci zabawą, nie myślą o nieszczęściu. — Gdybym silna była, gdybym mogła tam pobiedz... Lecz nogi ciężkie, jak gdyby z ołowiu, ręce mi się trzęsą; — otwieram okno z największym wysiłkiem, chcę krzyczeć — ale wrzawa mię zagłusza, słyszę śpiew, krzyki radości, wesela, świst chorągiewek, widzę migotanie świateł — a biały obłok płynie coraz większy i czarna plama... Już zajął pół nieba.

— Krzyknęłam z całej mocy — nikt nie słyszy; — za daleko! Co począć? Czy mam patrzeć na ich zgubę? Boże, mój Boże! Każda chwila droga, każda chwila im grozi!

— Wtem Bóg miłosierny zesłał mi myśl szczęśliwą: podpale chatę, niech im znakiem będzie i głosem przestrogi. Cóż znaczy nędzna chata wobec życia tyłu ludzi?

— Nie miałam zresztą czasu do namysłu, — rzuciłam śpiesznie ogień na posłanie i chciałam wyjść z izdebki. Za progiem jednak upadłam na ziemię i już nie mogłam powstać. Szum mię ogarnął, gorąco i płomień. Niby przez sen widziałam

ogniste języki, wybiegające z okien, skaczące po dachu, we drzwiach nade mną. Aż nagle z nad morza krzyk się rozległ potężny, wszyscy w mgnieniu oka porzucili zabawę, by śpieszyć na pomoc biednej staruszce, która się spalić mogła. Dobrzy, poczciwi ludzie! Bóg ich ocalił za to, bo kiedy w jednej chwili zaszumiało morze, lód skruszony pękł z trzaskiem, podobnym do strzałów, niebo i ziemia zmieszały się razem w ciemność i burzę — nikogo już nie było tam na wodzie. I nikt nie zginął, — wszyscy ocaleli, — Bóg ich ocalił. Dobrzy, poczciwi ludzie!

— Ale już potem nie wiem, co się stało, — pewno mię ratowali, a ja się tymczasem obudziłam już tutaj, przed wrotami raj. Mówią, że czasem i dla biednych ludzi Bóg je otwiera, — może się zmiłuje nade mną. Bo gdzieżbym się schroniła? Nawet chatki na grobli już tam na ziemi nie mam.

W tej samej chwili zgrzytnął w zamku klucz niebieski, szeroko otworzyły się wrota złociste, a święty Piotr i aniołowie wprowadzili staruszkę do raj. Gdy próg przestępowała, z ubogiej odzieży spadła na ziemię jedna mała słomka; słomka z poscieli, którą podpaliła, aby bliźnim życie ocalić. I oto patrzcie: złociste ździebełko wyrasta w górę, okrywa się liściem i kwiatem szczerozłotym, a żyjącym, świeżym, i rośnie, rośnie. —

— To skarby, które z ziemi przyniosła staruszka — rzekł anioł, zwracając się do piątego brata i ukazując krzak róży złocistej, — to jej czyny, zasługi. Gdzież są twoje? Nic nie zrobiłeś przez całe życie dla nikogo, ani jednej cegiełki.

Jakże możesz żądać nagrody? Wiem, że chociażbyś wrócił na świat i pracował, niewieleby twoja praca warta była, ale przy dobrych chęciach możnaby ją za coś policzyć, — wrócić jednak nie możesz...

Staruszka z chatki na tamie słuchała, stojąc na progu raj, a teraz odezwała się z prośbą nieśmiałą.

— Święty panie aniele, — brat tego człowieka podarował mi wszystkie pokruszone cegły, a nawet wiele całych, gdyż miał bardzo dobre serce, — było to dla mnie wielkiem dobrodziejstwem, bo z czegożbym wystawiła sobie chatkę? Czyżby nie można dziś tych wszystkich cegieł policzyć choć za jedną na dobro tej duszy? Wszakże tutaj jest źródło wszelkich łask i miłosierdzia, a oto dusza, która tego potrzebuje.

Anioł łagodnie spojrział na staruszkę.

— Dobrze — rzekł po namyśle — twojej prośbie Pan Bóg dzisiaj nie odmówi, to pierwsza prośba twoja, — niechże więc tak będzie. Dla dobrego uczynku brata twego, którego uważałeś za najlichszego tu na ziemi, i na prośbę tej oto ubogiej kobiety, Pan Bóg cię od wrót raj, nie odrzuci, — możesz pozostać tutaj i rozmyślać, jakby naprawić swoje ziemskie życie. Dalej jednak pójść nie możesz, dopóki nie spełnisz czegoś, coby dobrym czynem życia twego nazwać można.

— Mógłbym to lepiej wyrazić, — pomyślał sobie krytyk, ale nic nie powiedział, a to jego milczenie już coś znaczyło na drodze poprawy.

LEN.

Lato. Szumią lasy, kołyszą się zboża, pachną łąki kwieciste. Len zakwitł. Całe pole błękitnieje. Na zielonych łodyżkach patrzą w niebo kwiatki, drobne, błękitne, lekkie, delikatniejsze od skrzydeł motyla. Słońce je pieści, grzeje swemi promieniami, a chmury poją deszczem. I dobrze, miło zielonej roślince, jak dziecku, gdy je matka umyje, nakarmi i pocałuje.

Len był bardzo szczęśliwy.

— Mówią ludzie, że jestem piękny i wysoki — powtarzał sobie — że będzie ze mnie piękna sztuka płótna. Jak to przyjemnie. Napewno jestem najszczęśliwszy w świecie! Tak mi dobrze. Nie jestem niczem i coś ze mnie będzie. Jak słońce ładnie świeci, jaki deszczyk słodki, ożywczy, ciepły! Szczęśliwy jestem, ogromnie szczęśliwy, — najszczęśliwszy na świecie!

Usłyszały jego słowa kołki w płocie i rozśmiały się głośno.

— Co ty, dzieciaku, wiesz o szczęściu i o świe-

cie? — zawołały. — Co ty znasz? Co widziałeś?
 My — to co innego, stoimy tu tak dawno, mamy
 doświadczenie. Zaśpiewamy ci piosenkę, która
 cię wiele nauczy.

I zaczęły żałosnym chórem:

Stuk — puk, stuk — puk,
 Błysnęło!

Stuk — puk, stuk — puk,
 Zniknęło!

I niema nic —

I niema nic!

— Tak ze wszystkim na świecie, mój ko-
 chany.

— Nie, nie, nieprawda, wcale wam nie wie-
 rzę — odpowiedział len wesoło. — Dobrze i pięknie
 na tym Bożym świecie, co rano słońko wstaje, ta-
 kie promienne i jasne, lub z chmury deszczyk spada
 ożywczy, przyjemny, i czuję, jak mi daje nowe
 siły, życie. Czuję, że rosnę, kwitnę, żem szczęśliwy,
 bardzo szczęśliwy!

Lecz dnia pewnego przyszli ludzie i wyrwali
 len z korzeniami; to było bolesne. Zatopiono go
 w wodzie, gnieciono, dręczono, jak męczennika.
 Straszne rzeczy!

— Ha trudno, — zawsze dobrze być nie
 może — myślał z westchnieniem. Czasem cierpieć
 trzeba, żeby się czegoś dowiedzieć na świecie.
 Będę mądrzejszy.

Mogło mu jednak zbraknąć cierpliwości, gdyż
 było coraz gorzej: palono go na słońcu, bito, ła-
 mano, skrobano, — nie wiedział nawet, jak nazwać

16

te męki, które znosił bez końca. Codzień co innego. Zatknięto go nakoniec na przęślicę, a wrzecziono furczęc zaczęło i okręcać wkoło siebie długą nitkę. Biedny len w tym chaosie myśli zebrać nie mógł.

— Byłem dawniej szczęśliwy — mówił sobie, cierpiąc, trzeba pamiętać o tem i pocieszać się w smutku choć wspomnieniem szczęścia. Nic wiecznie trwać nie może, powinienem być zadowolony ze swego losu. Powinienem.

I powtarzał to sobie najusilniej jeszcze wtedy, kiedy go rozciągnięto na tkackim warsztacie. Stuk — puk, stuk — puk, i z drewnianej ramy wysuwała się długa, piękna sztuka płótna. Wszystek len na nią wyszedł.

— Ależ to cudowne! — zawołał w uniesieniu radości. — Tego się nie spodziewałem! Nie byłbym wierzył nawet. Co za szczęście! Co za szczęście! Tak, tak:

Stuk — puk, błysnęło!

— Miały słuszną kolki w płocie:

Stuk — puk, stuk — puk,
Błysnęło!

— Nieskończona ich piosnka, ale zaczyna się dobrze. Jak w bajce. Czary, czary! Stuk — puk i jestem oto sztuką płótna. Dawniej nie wiedziałem nawet, co to znaczy sztuka płótna. A warto było cierpieć. Teraz dopiero naprawdę jestem najszczęśliwszą na świecie istotą! No, i wart jestem więcej.

niż tam niegdyś na polu. Cóż znaczy jakaś drobna, słabiuchna roślinka, choćby z niebieskim kwiatkiem? Któż wtedy dbał o mnie? Kto mię pielęgnował? Tylko chmury poczciwe poiły mię deszczem, tylko słońko pieściło mię światłem złocistym. A teraz co innego: jestem sztuką płótna i proszę spojrzeć jaką! Mocną, długą, cienką, a co za białość! Wszyscy mię też cenią, wszyscy mi usługują i troszczą się o mnie; dziewczęta rozścielają mnie codzien na słońcu, co wieczór polewają czystą, świeżą wodą, a co się przytem nasłucham ich pochwał! Najstarsza gospodyni powiedziała, że w całej wiosce niema piękniejszego płótna. Czyż można być szczęśliwszym na tym świecie?

Niedługo jednak trwały chwile wypoczynku; wzięto płótno do domu, pokrajano nożyczkami, kłuto igłą, przewracano i gnieciono — nie było to zbyt przyjemne, ale — zrobiono z niego dwanaście pięknych, mocnych sztuk bielizny, której nie mogę nazwać. Cały tuzin.

— Patrzcież, państwo! Więc takie było moje przeznaczenie. Teraz dopiero wiem przecie, czem jestem i na co zostałem stworzony. Być na świecie użytecznym i potrzebnym — oto prawdziwa rozkosz, to największe szczęście. Jest nas dwanaście sztuk, lecz wszystkie razem stanowimy całość, jednym jesteśmy tuzinem, jedno mamy zadanie życia. I szczęście nasze jest wielkie, największe!

Wiele lat upłynęło — płótno się podarło.

— Wszystko się skończyć musi — powiedziały sobie wszystkie sztuki bielizny, której nie mogę

nazwać. — Cóż robić. Gdyby to było w naszej mocy, służyłybyśmy chętnie jeszcze bardzo długo. Ale sił już nie mamy.

Nie miały sił. Podarto je też na kawałki, poszarpano. Były pewne, że nadeszła ostatnia godzina ich bytu na tym świecie, gdyż wrzucono je w kocioł, gotowano, — one same nawet nie wiedziały, co wyrabiano z niemi, aż ocknęły się wreszcie jako piękny, czysty, cienki i biały papier.

— A to mi niespodzianka! Cudowna, boska niespodzianka! — wołał papier uradowany. Odrodziłem się znowu i jeszcze piękniejszy, cieńszy i bielszy. Teraz będą pisać na mnie i nowej nabiorę wartości. Co za szczęście, co za szczęście niewypowiedziane!

Naprawdę wielkie szczęście spotkało nasz papier, gdyż napisano na nim rzeczy mądre i dobre. Jedna niewielka plamka atramentu nie popsuła znaczenia prześlicznych powieści i wierszy, których ludzie słuchali z zajęciem, a słuchając, stawali się rozumniejszymi i lepszymi, niż przedtem. Bo w słowach, napisanych na naszym papierze, kryło się błogosławieństwo i szczęście.

— Czyż mogłem marzyć o podobnym losie tam, na zielonem polu, patrząc w niebo kwiatkiem małym, niebieskim? — myślał len wzruszony.— Czyż mogłem marzyć wtedy, że będę niósł ludziom radość i wiedzę? Sam dzisiaj jeszcze dobrze tego nie rozumiem, a jednak jest to prawdą, nie złudzeniem. Bóg dobry zna me siły i wie, że sam z siebie do czynów wielkich niezdolny, a przecież wiedzie mię coraz wyżej, do większych godności

i do wyższego szczęścia. Tyle już razy myślałem, że pora skończyć piosenkę, którą śpiewały mi znajome kołki w płocie:

Stuk — puk, stuk — puk,
Zniknęło!

— Lecz nie, — przygasa tylko, by jaśniej błysnąć, życie, które Bóg wlał we mnie. I staję się coraz lepszym i pożyteczniejszym, a ja — coraz bardziej szczęśliwy. Teraz zapewne wyślą mnie w drogę daleką, dokoła świata, aby wszyscy ludzie usłyszeć mogli słowa, które na mnie napisano. Nie może być inaczej. Te prześliczne myśli bardziej mnie zdobią dzisiaj, niż błękitne kwiatki niegdyś tam na polu. O, szczęśliw jestem, najszczęśliwszy na świecie!

Nie wysłano jednak w daleką drogę cennego papieru, lecz oddano go do drukarni, gdzie wszystkie myśli, które były na nim napisane, przedrukowano w książki, w setki i tysiące książek, a te rozbiegły się zaraz po świecie, gdyż tym sposobem więcej mogły przynieść ludziom przyjemności i pożytku, niż jeden podróżujący bez końca rękopis.

— Tak rzeczywiście jest daleko lepiej i rozsądniej — pomyślał papier. — Że mi to wcześniej do głowy nie przyszło! Zostanę sobie w domu, i będą mię tutaj szanowali, niby starego pradziadka tych wszystkich pięknych książek. W drodze mógłby spotkać mię jaki wypadek i nie objechałbym ziemi dokoła. A przecież jestem czemś godnem szacunku i wielkiego poszanowania: na mnie spoczywały

oczy tego, który pisał te mądre wyrazy; każdy wyraz spływał na mnie prosto z jego myśli i serca. O, jestem szczęśliwy!

Tymczasem zwinięto papier w grubą rolkę i wrzucono do skrzyni, pełnej przeróżnych szpargałów.

— Po pracy należy mi się odpoczynek — pomyślał papier — bardzo mi tu dobrze. Mogę przynajmniej pomyśleć o sobie, zastanowić się nad tem, co zawieram. Teraz dopiero zaczynam rozumieć i coraz lepiej pojmować to wszystko, co napisano na mnie. A znać samego siebie — to pierwszy krok do mądrości. Ciekawym bardzo, co się jeszcze ze mną stanie? Naturalnie, że pójdę dalej i stanę się znowu czemś lepszym; wszystko postępuje naprzód i wszystko doskonali się na świecie, tego już mię nauczyło doświadczenie.

Znowu czas jakiś upłynął, nim otwarto starą skrzynię, wyjęto z niej wszystkie papiery i złożono na kominku, ażeby je spalić. Miały one niegdyś wielką wartość i dlatego ludzie nie chcieli sprzedać ich handlarzom do owijania masła albo cukru. Niech lepiej spłoną w ogniu.

Dzieci obstały kominek gromadką: chcą patrzeć, jak się papier palić będzie, — to tak wesoło, ładnie; — płomień wzbija się w górę, migoce, przygasa i bucha znowu; a potem iskierki złociste, jak błyskawice, jak węże, ślizgają się po zwęglonych, czarnych szkielecach papieru. Wysypały się nagle gdzieś ze środka, niby dzieci ze szkoły, biegną, gasną, nikną; — a teraz jeszcze jedna, — to pan nauczyciel, — ha, ha, ha, nauczyciel!

Dzieci klaszczą w ręce, śmieją się wesoło, skaczą dokoła kominka.

Rolla starego papieru odrazu stanęła w ogniu. — Ach! — krzyknęła słabym głosem — i płomień ogarnął ją nagle, gwałtownie i buchnął w górę. — Ach! — jęknęła jeszcze po raz ostatni, lecz w tej samej chwili wstęgi ogniste strzeliły wysoko, tak wysoko, jak nigdy nie sięgały drobne, błękitne kwiatki, a płomień gorący zajaśniał i zaświecił takim blaskiem, jakim nie świeciło nigdy piękne, białe płótno. Na jedno mgnienie oka wszystkie napisane na papierze literki stały się czerwone, jak gdyby przemawiały ognistemi słowy, — potem zagasły z trzaskiem.

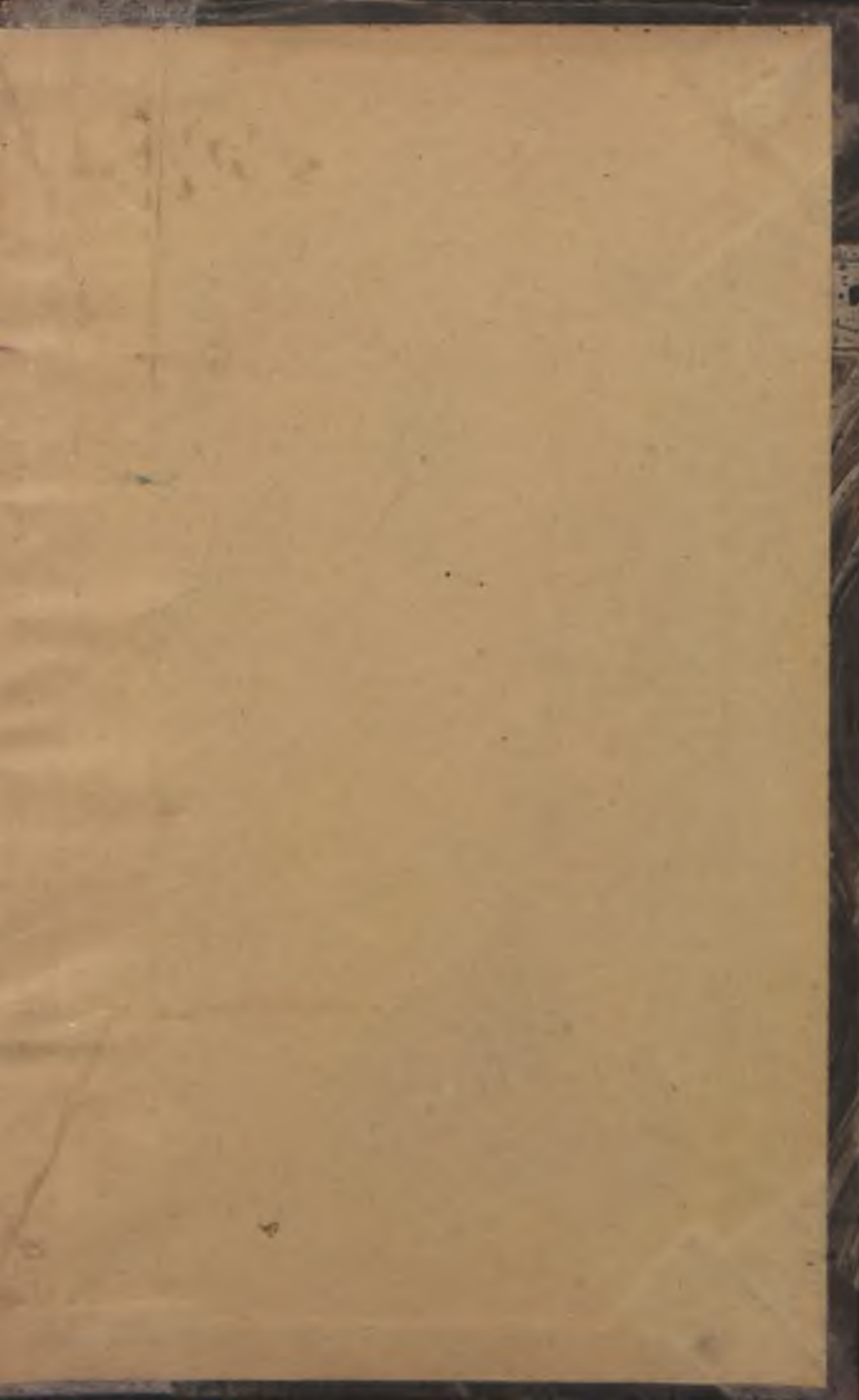
— Wznoszę się ku słońcu! — zabrzmiały wśród płomieni jakby setki głosów, w jeden chór zespolonych, i przez czarny komin iskry i płomień wzlatywały szybko, wyżej, wyżej, ku niebu.

Wzlatywały istotki lżejsze od płomienia, mniejsze od iskry, niewidzialne dla oka ludzi, a liczniejsze, niżli kwiatki błękitne na polu, które niegdyś uśmiechały się do słońca. Krążyły one chwilę nad ogniskiem, a gdzie leciuchnem ciałem dotknęły popiołu, tryskał snop iskiei. Dzieci klaskały w dłonie i śpiewały, skacząc:

Stuk — puk, stuk — puk,
 Błysnęło!
Stuk — puk, stuk — puk,
 Zniknęło!
I niema nic!
I niema nic!

53.	Sienkiewicz H.	Za chlebem	20
54.	»	» Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego	10
55.	»	» Stelanka — Legenda żeglarska	6
56.	Siemieński L.	Portret króla Jana. — Posłowie siewierscy	6
57.	»	» Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwalii	6
58.	Sienkiewicz H.	Orso — Sachem	8
59.	Gomulicki W.	Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej	6
60.	Kosiakiewicz W.	Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabożeństwo majowe	8
61.	Sewer.	Łusia Burlak	10
62.	»	» Wiosna	10
63.	»	» Dola	8
64.	Dygasiński A.	Co się dzieje w gniazdach	8
65.	Sieroszewski W.	Kulisi	10
66.	»	» W ofierze bogom	6
67.	»	» Bokser (Uang-Ming-Tse)	6
68.	Kaczkowski Z.	Bitwa o chorążankę	10
69.	Prus Bol.	Cienie. — Z legend dawnego Egiptu. — W górach	6
70.	Konopnicka M.	Wyjście Zapala	5
71.	»	» W Winiarskim forcie	5
72.	»	» Urbanowa	5
73.	»	» Miłosierdzie gminy	8
74.	Lenartowicz T.	Wybór poezyi	8
75.	Kondratowicz L.	(Wł. Syrokomla). Wybór poezyi	10
76.	»	» Janko Cmentarnik	6
77.	Hoffmanowa Klem.	Dziennik Franciszki Krasieńskiej	
78.	»	» Listy Elżbiety Rzeczyckiej	
79.	Czerneda M.	(Bierzyński). Nieptakany	6
80.	»	» Kancelista	6
81.	Kraszewski J. I.	Żywot i przygody Imci Pana Józefa z Gozda Hrabiego Gozdzińskiego — Pan Starosta Kaniowski	
82.	»	» Jak się dawniej listy pisało	
83.	»	» Psiarek	
84.	Wilczyński Ad.	Przykładna kara	
85.	Chodźko Ign.	Samowar	
86.	»	» Domek mojego dziadka. — Śmierć mojego dziadka	
87.	»	» Boruny	
88.	Górski K. M.	Biblioman	
89.	Lenartowicz T.	Zachwycenie	
90.	Korzeniowski J.	Karpaccy górale	
91.	Kondratowicz L.	(Wł. Syrokomla). Ułaz	
92.	»	» Kęs chleba	
93.	»	» Jan Dębioróg	
94.	»	» Trenzłowe — Spowiedź P. Korsaka	
95.	»	» Wielki czwartek	
96.	Asnyk Adam.	Wybór poezyi	
97.	Ujejski K.	Wybór poezyi	
98.	Pol Wincenty.	Pieśń o ziemi	
99.	Wasilewski Edm.	Wybór poezyi	
100.	Zaleski J. B.	Wybór poezyi	





PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen. J. Hallera 14



173796

UWAGA

KŁOCEK INTROLIGATORSKI

MUZEUUM